

Krzysztof Piotr Łabenda

Klęszcz



Krzysztof P. Łabenda
„Kleszcz”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2016
Copyright © by Krzysztof P. Łabenda, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Robert Rumak
Korekta: Paweł Markowski
Ilustracje na okładce: © stevecuk, fredmantel – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-484-3

Wydawnictwo Psychoskok
ul. Spółdzielców 3/325, 62-507 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Wszelkie postaci występujące w tej książce i sytuacje w niej opisane są fikcyjne. Jakiegokolwiek ich podobieństwo do osób istniejących kiedykolwiek jest całkowicie przypadkowe. Podobieństwa zdarzeń tu opisanych do tych, które mogły mieć miejsce w rzeczywistości także są przypadkowe.

Spis rozdziałów

Rozdział I	5
Rozdział II	27
Rozdział III	97
Rozdział IV	117
Rozdział V	137
Rozdział VI	157
Rozdział VII	191
Rozdział VIII	205
Rozdział IX	219

Rozdział I

Lzy, które płynęły po policzkach Małgorzaty kapały na coraz bardziej bladą twarz Piotra. Prymitywny opatrunek, jaki mu założyła i to, że utrzymywała go w pozycji półsiedzącej sprawiało, że już tak bardzo się nie dusił, choć oddychał z wielkim trudem. Widać jednak było, że bardzo cierpi. Być może, gdyby Gosia pozwoliła mu na utratę świadomości jego ból by zelżał, ale to było dla niego śmiertelnym zagrożeniem. Bez jego minimalnej choćby współpracy nie była w stanie go utrzymać w bezpiecznej dla niego pozycji. Zemdlny osunąłby się niechybnie na ziemię a to oznaczało niemalże pewną śmierć rannego.

– Pada? – przebiegło mu przez myśl. No tak, kiedy tu biegłem, by ratować Gosię przed oszalałą Katarzyną, lało. Teraz pada.

Kolejny atak bólu w przestrzelonej klatce piersiowej przywołał go na chwilę do rzeczywistości. Zobaczył siedzącą w kałuży krwi komisarz Mroczek, tłoczących się w niewielkim pomieszczeniu hałaśliwych antyterrorystów, martwą Katarzynę. Poczul słodki odór krwi pomieszany z płynącym od policjantów zapachem potu, często oliwionego metalu i spalonego prochu. Oddychał z największym trudem. Przypomniiał sobie wszystko. Oszalałą z chorej miłości do niego Katarzynę Bronowicz, swoją asystentkę, która kilka chwil temu, uwięziwszy uprzednio jego Gosię, usiłowała ją

zabić. Pamiętał strzelającą Katarzynę. Strzały, które padły nie tak dawno: ten, który ranił komisarz Mroczek i ten, który przeszył jego pierś. Zobaczył raz jeszcze krótką walkę, jaką stoczyła Gosia ze swoją prześladowczynią i śmiertelne ciosy, które powaliły Katarzynę. Teraz miał wrażenie, że jego ukochana szłocha gdzieś w oddali, spowita tą dziwną, błękitną, obramowaną na czerwono mgłą przesłaniającą mu oczy, tłumiącą wszystkie dźwięki.

– Piotr, proszę, nie umieraj! Nie zostawiaj mnie! Piotr! Przecież musimy na Boże Narodzenie wrócić na ten most w Paryżu i sprawdzić, czy nasza kłódka tam jeszcze jest.

Opanowany przez zaborczy, trudny do zniesienia ból, który pulsował mu w piersi, nie miał ani ochoty, ani dość sił, by jej odpowiedzieć. Jasne, że chciał wrócić z Gosią do Paryża na Pont des Arts, gdzie niedawno zawiesili swoją kłódkę miłości, ale teraz musiał przede wszystkim przetrwać, a więc skoncentrować się na walce z tym przerażającym bólem. Musiał wyeliminować go ze swojej świadomości, zabronić dostępu do niej. Starał się przeto usunąć, zablokować wszystkie niepotrzebnie go rozpraszające bodźce zewnętrzne, skupiając się tylko na nim – pożerającym go bólu. Jego świadomość, niczym ranne zwierzę szukające spokojnego matecznika, stopniowo usuwała poza swoje granice wszystko to, co nie było tym bólem. Piotr miał wrażenie, że zapada się w siebie, kurczy, powraca wręcz do stanu embrionalnego, a otaczający go świat kurczy się wraz z nim.

Myśl o kurczeniu się jego świata długo nie chciała usunąć się poza tę granicę, którą sobie teraz wyznaczył. Na polu, na którym miał prawo być tylko ten ból, z którym próbował

walczyć, owa myśl tkwiła niczym trudna do usunięcia, pozostała po ściętym, wiekowym drzewie, karpa.

Już raz się zmagał z tym problemem, kiedy przekroczywszy pięćdziesiątkę zrobił swoisty bilans życia. Śmiał się wówczas w duchu, że inni faceci zabierają się do tego po czterdziestce, a on nie, on poczuł na sobie powiew upływającego czasu, kiedy skończył pięćdziesiąt lat. Rodzimy się – tak wówczas myślał – i nasz świat się gwałtownie rozpędza i rozrasta. To jak czas po Wielkim Wybuchu. Dzieciństwo, młodość – żadnych granic, wszystko wydaje się proste, możliwe, osiągalne. Pycha młodości, której się zdaje, że jest zdolna ruszyć z posad bryłę świata i nie potrzeba jej wcale do tego archimedesowej dźwigni. To buńczuczne przekonanie, że można być każdym, jechać dokądkolwiek się zechce, dokonać rzeczy wielkich lub upodlić swoje człowieczeństwo, wszak wszechświat jest nieskończony, a człowiek ma rozum i wolną wolę. Później, o czym się przecież w młodości nie myśli, przychodzą wiek dojrzały i starość, ze swoimi ograniczeniami i nieuchronnymi, bardziej lub mniej dokuczliwymi chorobami, ewidentnym i nieodwracalnym spadkiem formy. Już nie można pojechać, gdzie się chce, nie wszystko da się zrobić. Trudna do zaakceptowania nadwątlona fizyczność nie pozwala już na wspinaczkę na najwyższy szczyt w Himalajach czy nurkowanie w okolicach australijskich raf koralowych. Wątroba buntuje się przeciwko próbom osuszania zawartości kolejnych egzotycznych baryłek, beczulek czy butelek. Świat staje się coraz bardziej niedostępny, kurczy się. Choroba, która niespodziewanie potrafi przykuć do łóżka, gwałtownie przyspiesza to kurczenie się świata. Niedostępne staje się miasto, park tuż

za rogiem. Pokój chorego zmienia się celę więzienną. Ekstremalny ból sprawia w końcu, że świat zewnątrz, a także i ten azył w postaci marzeń, myśli, rojeń sennych, w którym nie było do tej pory granic, znika. Świat kurczy się, tak jak teraz.

Piotr, zdominowany przez ból i pragnienie przetrwania, musiał w tej chwili odrzucić wszystko. Był teraz tylko kilkanaście prostymi myślami, które – czuł to doskonale – zamykały jego cały świat w przestrzeni nie większej od wnętrza laskowego orzecha. Najważniejsza z tych myśli była krótka: „przetrwać”! Druga była równie prosta: „nie wyc”! Na nie nakładała się trzecia owijająca te dwie pierwsze i powracająca nieustannie niczym mantra wyryta na tybetańskim mani: „nie boli, nie boli, nie boli”! Bolało.

Leżał zatem w milczeniu, tworzył w wyobraźni tarczę, która skutecznie odgrodzi go od tej niemożliwej do zniesienia fizycznej udręki i czekał, aż ta przepływająca przez jego mózg mantra zgasi ten ból, pozwoli, niczym mocny alkohol, wyłączyć w końcu całkowicie świadomość. Jakaś siła, która nie pochodziła od niego sprawiła, że wreszcie poczuł, iż skutecznie odcina się od otaczającego go świata i zapada w głąb własnej jaźni, w pustkę wolną od wszystkiego, także, a może przede wszystkim, od tego bólu.

Nie wiadomo skąd pojawiła się w Piotrze nagle pewność, że w tym swoim, zredukowanym do minimum, wnętrzu nie jest sam. Było tam coś jeszcze, a może raczej ktoś jeszcze. Ten ktoś nie robił nic. Bonerski czuł, ba wiedział, że od tego nieokreślonego bytu nie może niczego oczekiwać, że on nie jest tu po to, by Piotrowi zaszkodzić czy pomóc. Po prostu jest.

– Umarł, umarł, umarł! – zdawał się wołać przeciągły i zawodzący sygnał rozcinającej ścianę deszczu karetki, wiozącej Piotra Bonerskiego do dość odległego od Wzgórza Młynarza szpitala w Gdańsku. Eskortujący Piotra lekarz czynił co mógł, by dowieźć żywym na szpitalną salę operacyjną wymykającego się mu co i rusz pacjenta. Wiele wskazywało na to, że może przegrać ten wyścig o życie rannego. Piotr był nieprzytomny, opornie reagował na dokonywane na nim zabiegi reanimacyjne i te, które miały podtrzymać ledwie się w nim tłącą iskierkę życia.

W drugiej karetce wieziono podkomisarz Anetę Mroczek. Ta pacjentka była przytomna i w zdecydowanie lepszym stanie. Jej przestrelona ręka wymagała co prawda pilnej interwencji chirurgicznej, ale życiu policjantki bezpośrednio nic nie zagrażało. Niewielką kawalkadę zamykał policyjny radiowóz, w którym jechała Małgorzata. Jej przerażenie wynikające z faktu, że kilkanaście minut temu zabiła, w walce o życie, Katarzynę i lęk o to, że Piotr nie przeżyje otrzymanego postrzału sprawiły, że dowodzący akcją policyjną oficer zdecydował nie czekać ani na prokuratora, który jak zawsze nie widział powodu by się spieszyć na miejsce przestępstwa, ani na trzecią karetkę. Przesłuchanie Gosi w tej chwili nie wchodziło w rachubę, a jej stan psychiczny, mimo zaaplikowanych środków uspokajających, wymagał bez wątpienia interwencji lekarskiej.

Piotr, tkwiący w tym wytworzonym przez siebie kokonie, który miał go oddzielać od wszelkich bodźców płynących z zewnątrz i, co ważniejsze, od tego wszechogarniającego go bólu nie wiedział, że przyjechali już do szpitala. Nie czuł

jak układano go na wózku. Nie widział tego uciekającego do tyłu szpaleru świetlówek, jaki obserwują przytomni chorzy transportowani na leżąco szpitalnymi korytarzami. Nie czuł zimna stołu zabiegowego, na jakim go ułożono. Zredukowany do najprostszych myśli, skupiony na tym, by nie dopuścić do siebie bólu, trwał w jakimś na poły wegetatywnym stanie. Anestetyki, jakie wprowadzono do jego organizmu zadziałały jak magnezja oświetlająca wnętrze tego kokonu, w którym się skrył. Szparą pod nie do końca przymkniętymi drzwiami do sali operacyjnej – Piotr widział to wyraźnie – wpełzał, sączył się ten byt nieokreślony, którego obecności doświadczył tam, w wiatraku stojącym we Wzgórzu Młynarza. To coś, co wpełzało jawiło się teraz jako czarna, bezkształtna, na poły fizyczna, uchwytna, a na poły przypominająca cień, masa, która teraz nie była już bytem neutralnym. Bonerski wiedział, że to nieznane ma teraz do wypełnienia swoją misję.

Jestestwo Piotra, to metafizyczne „ja”, przestało w jednej chwili być związane z ciałem i ześlizgnąwszy się ze stołu operacyjnego poszybowało w kierunku niedomkniętych drzwi. Ogarnęło go poczucie niemożliwej do opisanania bezsiły, rozpaczy, że mimo usilnych starań nie może domknąć tych nieszczęsnych drzwi, by powstrzymać owo nieznane, teraz już wyraźnie groźne, wpełzające do sali, w której nieco poddenerwowani lekarze zajmują się jego ciałem. Stojąc w oddaleniu od swojego ciała mimo wszystko czuł jak lodowaty chłód, dotknąwszy stóp jego cielesnej powłoki leżącej na stole zabiegowym, błyskawicznie pnie się w górę, zmienia łydki, podbrzusze, uda w jedną bryłę lodu. Wiedział, że ten

lodowaty jezor zatrzyma się, zakończywszy swoją misję, gdy tylko wypełnie do jego klatki piersiowej i dosięgnie serca.

Usłyszał muzykę. Otaczała go zewsząd, choć nie był w stanie ustalić skąd płynie. Tkwił zanurzony w jej dźwiękach niczym w zielonkawym, roziskrzonym słonecznym świetle morzu. Znał tę melodię – *Immortal Memory* Lisy Gerrard. W jednej chwili zjednoczył się z kosmosem, stał się jego częścią. Przepęłniało go już tylko jedno pragnienie – porzucić tę swoją skorupę leżącą na stole operacyjnym i, niczym wolny ptak, powrócić do źródeł istnienia.

Wpływająca do sali operacyjnej masa porzuciła jego ciało i zaczęła nabierać kształtów. Po krótkiej chwili przybrała postać odzianej w czerń, zakwefionej kobiety. Stanąwszy tuż obok skinęła na niego dłonią i Piotr podążył za nią. Brnęli teraz przez rozgrzany piach pustyni. Na głowie jego przewodniczki pojawił się szary, gliniany dzban. Lodowaty ziąb, jakiego doznawał jeszcze przed chwilą zmienił się błyskawicznie w żar zdolny do spopielenia wszystkiego. Bonerski dyszał ciężko, patrząc na kłujące w oczy, drgające z gorąca powietrze, unoszące się nad bezkresem rozpalonej pustyni. Zerwał się wiatr zatruwający wszystko dookoła swym gorącym oddechem samum. Tumany nieconego pyłu przesłoniły krwistą kulę słońca, która spragnionemu Piotrowi jawiła się jako olbrzymia, nabrzmiała wrzącym, niemożliwym do wypicia sokiem, pomarańcza.

Posłuszny niewypowiedzianemu nakazowi szedł za tą odzianą w czerń, odwracając się co i rusz do niego, dźwigając swój dzban, kobietą. Szła niespiesznie mimo dmącego w jej plecy wiatru. Piotr, spragniony niczym zżółkła,

wysuszona lipcowym skwarem łąka deszczu, wpatrzony w kołyszące się biodra przewodniczki, niemalże słyszał, jak w dźwiganym przez nią naczyniu przelewa się, mlaszcząc cicho, ciecz zdolna ugasić każde pragnienie. Utrudzony żarem, pokonany przez pragnienie Bonerski upadł na kolana, osunął się na bok i wreszcie padł na wznak, pozwalając, by rozpalony piach wysysał z niego resztkę energii. Nie było w nim bólu, przerażenia czy żalu. Raczej spokój, akceptacja tego, co się ma stać za chwilę i radość, że dane mu będzie – Piotr to wiedział – poznać największą z tajemnic. By otrzymać tę najwspanialszą nagrodę wystarczyło tylko zamknąć oczy i czekać. Potem powinno być już prosto: świetlisty tunel, na końcu którego jest przyjazne światło i ciepło, dająca spokój i ukojenie przestrzeń, spotkanie z bliskimi i nim – życzliwym gospodarzem owej przestrzeni i sędzią sprawiedliwym.

– Jeszcze nie teraz! Jeszcze nie tu!

Wypowiadająca te słowa kobieta odziana w czarną abażę, z twarzą ukrytą za zasłoną nikabu, pochyliwszy się nad Piotrem delikatnie rozwarła jego spierzchnięte wargi i wlała pomiędzy nie nieco cieczy z niesionego dzbana.

Pierwsze krople płynu, szkarłatnego niczym palące pułstynię, po której wędrowali, spowite w płaszcz piachu nieconego samumem, słońce, rozwarły do końca piotrowe wargi i spłynęły aksamitnym balsamem w głąb gardła. Ożywcza ciecz sprawiła, że nieznana siła, niczym rażenie pioruna, przeszła Bonerskiego, a następnie uniosła go gwałtownie, by w jednej chwili rzucić w sam środek jesiennego pola. Ciężka, czarna i mokra ziemia, gotowa na to, by jak każdego roku stać się brzemioną rzucanym w nią przez człowieka

nasieniem, litościwie studzi trawiącą Piotra jeszcze chwilę temu gorączkę. Abaja poprzedzającej go kobiety szybko nasiąka wilgocią zaoranego, zlanego deszczami pola. Czarna postać, tak jak i Piotr, porusza się teraz wolniej, z trudem wyzwalając stopy obute w sznurowane nad kostką sandały z tłustej i rozmokłej ziemi. Każdemu jej krokowi towarzyszy ciche kłaskanie mokrej gleby.

Między skibami leżą jesienne liście drzew rosnących w rozciągającym się nieopodal, tuż za skrajem pola, lesie. Liście są martwe i, tak by się wydawało, posłuszne przez to wiatrowi, który usiłuje poderwać je do lotu i rzucić na gałęzie pobliskich drzew, tak jakby chciał te ich, niedawno przecież jeszcze żywe i zielone dzieci, zwrócić, teraz nagim, rozpaczliwie kołyszącym się w takt wiatrowych podmuchów, matkom. Patrząc na to niechętne wirowanie brązowych i żółtych mokrych liści, na obnażone ramiona drzew, pasemka splełanych witek, Piotr wie, że choć teraz próżno tu wypatrywać nadziei na przyszłoroczną zieleń macierzyństwa dzielonego skwapliwie między liście i owoce, to ono jednak tam jest. Uśpione w łyku, okryte korą czeka na swój czas. Wiatrowe wysiłki, obietnica daru jeszcze jednego, ostatniego spojrzenia na świat z ptasiej perspektywy, pozostają bez odzewu. Martwe, opite deszczem, który jeszcze nie tak dawno dawał im życie, liście, rozsmakowały się już w tym swoistym miłosnym uniesieniu, zespoleniu z matką wszystkich matek – ziemią. Ta zaś wchłania je powoli, wysysając zapisaną w nich słońcem energię, przyswaja zgromadzone w tych liściach pierwiastki, zabiera ich siłę, by móc wiosną i latem karmić to życie, które w niej i z niej się narodzi.

Kobieta w czerni przystaje na skraju lasu, gdzie i Piotr dociera wkrótce.

Bonerski przysiada obok niej na zimnym, lekko wilgotnym, obrosniętym mchem kamieniu. Czuje, jak spływa na niego ulga, której nigdy dotąd nie doświadczył. Jest lekki, wolny jak ptak. Ma wrażenie, że cały olbrzymi balast dotychczasowego życia, te wszystkie mozolnie gromadzone doświadczenia i doznania, to, co przyginało go do ziemi i to, co tak niewiele razy pozwalało mu wyprostować plecy i podnieść głowę, teraz odpadło. Chce mu się podskakiwać, krzyżeć z radości. Wybucha nagłym śmiechem, od którego cały się trzęsie, a po policzkach płyną mu łzy.

– Witaj Piotrze.

Cała przepelniająca Bonerskiego radość pierzcha w jednej chwili. Jest spokojny, ale śmiech już nie wydobywa się z jego piersi.

– Czy...?

– Przecież wiesz.

– A gdzie kosa, szkielet?

– Żarty się pana profesora trzymają i to w takiej chwili. Nic, tylko podziwiać. Nie każdego, a raczej niewielu na to stać. Wiesz dobrze, że to tylko twoja wola czy wyobraźnia nadają mi taką a nie inną postać. Mogę, jeśli ci to sprawia różnicę, być tym jarmarcznym szkieletem z kosą, odzianym w czarną pelerynę z kapturem, posępnym starcem czy muskularnym młodzieńcem z czarnymi skrzydłami. Jeśli taka twoja wola, to będę paryską postacią: tanią dziwką w „Bobolandzie” stojącą przy Saint Denis – sercu dziesiątej dzielnicy, czy gejem czekającym wieczorem na swego kochanka

na ulicy Vieille du Temple w Le Marais, bądź panią Janką – szefową „Flisaka” w Gdańsku w czasach, gdy spotkałeś tam podczas zjazdu klasowego Ewę, która dała ci Maksa. To w sumie śmieszne, wyobrażenie o szkielecie z kosą to jeden z mitów, jak choćby ten, który mówi, że jeśli zmarły przeleży niepochowany przez niedzielę, to weźmie wkrótce kogoś ze sobą. Jakoś musicie się nakręcać strachem i mnie sobie wyobrażać.

Dziś, bo tak chciała twoja podświadomość, dla ciebie jestem posłańcem, Ma'akh, z przepowiedni starego Murzyna Gnawa, której kiedyś się tak przestraszyłeś, a o której już pewnie zapomniałeś, wyparłszy ją z pamięci.

– Nie zapomniałem. Umieram? Dlaczego teraz?

– To jeszcze nie zostało przesądzone. Dlaczego teraz? Jesteś zbyt mądry na takie banalne pytania. Chwila odejścia nigdy nie jest odpowiednia. Tego nie jesteś w stanie zaplanować.

– Chyba, że to ja zdecyduję, by skończyć ze sobą.

– Nawet w przypadku eutanazji czy samobójstwa nie ty decydujesz o tym kiedy. Pragnienie odejścia to jedno, a jego moment to drugie. Kiedy uważasz, iż masz wpływ na swój koniec, to możesz określić minutę, sekundę, kiedy to się zacznie, ale nic więcej. Nawet nie wiesz ile się może wydarzyć w ciągu tej minuty czy sekundy. Nim miną, ciągle przecież jeszcze jesteś niczym dukat, który wypadł z ręki i leci w powietrzu zawieszony między dłonią życia, a trawą zapomnienia, która go wchłonie, przytuli, ukryje. Dukat szczęśliwy tym, że przechodzi z rąk do rąk, bo na tym polega jego istnienie. Tysiące rąk, a przecież chciałbyś, by były ich setki tysięcy,

miliony. Z perspektywy człowieka najczęściej jest tak, że nie można „nażyć się” do syta. Zawsze pozostaje niedosyt. Zawsze, gdzieś tam, na samym dnie, w głębokim ukryciu, kuli się ta maleńka nadzieja, że nim ten dukat stoczy się w trawę pojawi się jakaś inna dłoń, która go jeszcze pochwyci. Nagła nowa miłość, lek, który właśnie wymyślono i zdążono odchodzącemu zaaplikować, pojawiający się w ostatniej chwili ratownik z antidotum, odchylenie lotu kuli o ułamek milimetra, drzenie rąk przyjaciela, który zgodził się podać ci śmiertcionośny specyfik. Wierz mi, znam to wszystko. Ileż to sygnałów wysyłają samobójcy nim wreszcie się zdecydują na krok ostateczny? Jak głośno i długo wołają o pomoc? Wy, ludzie, jesteście nienasyчени. Chcecie szarpać zębami tkankę życia, wgryzać się w nią nieustannie, a gdy braknie zębów – żuć ją dziąsłami, ciamkać, memłać, ale czuć ją w ustach.

– Przecież starość, niedołężność, bywają tak męczące, uciążliwe, pełne chorób i boleści. Człowiek może mieć zwyczajnie dość i pragnąć kresu tego wszystkiego.

– Oboje wiemy, że im człowiek ma więcej lat, tym trudniej mu przychodzi, wbrew pozorom, powiedzieć: basta, wystarczy, uciekam, już mnie nie ma. To raczej irytująca maniera zadufanej w siebie młodości. Z życiem jest trochę tak jak z alkoholizmem. Strasznie ciągnie do butelki i do życia. Kiedy tylko zechcę, mówią alkoholicy, mogę rzucić picie. Najczęściej to nieprawda. Kiedy tylko zechcę, mogę skończyć ze sobą, powiadają cierpiący czy znużeni, to tylko kwestia doboru i dostępności środków. Niewielu alkoholików rzuca picie. Niewielu przeświadczonych o tym, że mogą, kończy samodzielnie swoją egzystencję. Nie pamiętasz? Kiedy miałeś

dwadzieścia kilka lat, byłeś sam i bez większych zobowiązań, to buńczucznie pohukiwałeś: trzydzieści pięć lat i dosyć.

– Faktycznie, nie pamiętam.

– A ja pamiętam wszystko.

– A to jakim sposobem? Jesteś zbiorczą pamięcią świata? Takim twardym dyskiem, na którym zapisano ludzkie myśli, czyny i rozmowy?

– Możesz to tak nazwać. Jestem swoistym paradoksem, bo jestem twoja i tylko twoja, ale też jednocześnie i każdego innego człowieka. Człowiek, powiadają, rodzi się tylko raz i tylko raz odchodzi. Ja rodzę się ponad dwieście pięćdziesiąt razy każdej minuty i odchodzę w tejże minucie ponad sto razy. To strasznie nużące, ta multilokacja. Zawsze, lub prawie zawsze, jest tak samo. Kładę swoją dłoń na waszych piersiach, dotykam bijącego, niczym u przerażonego królika, serca. Czuję te naście czy – dziesięć człowieczych lat, które właśnie się kończą. Widzę drobne radości i liczne błędy wypełniające dogasający ludzki żywot. Kiedy ja się pojawiając pojawia się też szczerłość. Niczego już nie udajecie, nie ukrywacie. Stajecie się w jakimś sensie i nadzy i transparentni. Wszyscy, jeśli tylko żyjecie więcej niż kilkanaście lat, wcześniej czy później uświadamiacie sobie, że życie jest na ogół jednym ciągiem pomyłek. Zanim się o tym przekonacie, bezpodstawnie jednak wierzycie, że to dotyczy innych, ale nie was. Jesteście przekonani, że akurat wy unikniecie tych rozczarowań, że jeszcze macie czas, by naprawić to, co sami spieszyliście. Szczególnie wy, mężczyźni, zdajecie się zapominać, że seks, za którym tak gonicie, jest jednym z podstawowych powodów popełnianych przez was

błądów, że to, co was nakręca może także i zniszczyć. Wierz mi, najczęściej jest tak, że wasze ludzkie życia są banalne, a jedne podobne do drugich, tych, które już były, i które jeszcze będą. Dobrze w tym wszystkim jest to, że potraficie być tacy niewymagający, że w swej ułomności umiecie cieszyć się chwilą. Dopiero kiedy nadchodzę, lub gdy czujecie moją niedaleką obecność, pojawia się w was refleksja i żal, spóźnione pragnienie, by wszystko rozegrać inaczej.

Z nami, Piotrze, jest dokładnie tak samo – staliśmy się jednym w chwili twojego poczęcia, byliśmy ze sobą każdego dnia, w każdej sekundzie twojego istnienia i razem, kiedy nadejdzie czas, dojdziemy tam, gdzie jednocześnie zaczyna się i kończy ciemność. Z twoim żalem i strachem, lub bez nich. Jedno muszę ci przyznać – niewielu jest tak odważnych. Nieliczne są takie przypadki, kiedy mam okazję do takiej rozmowy i nie muszę zmagać się z tym zwierzęcym strachem, bezsensownym buntem przed tym, co nieuniknione.

– Dokąd zmierzamy? Dokąd ja zmierzam?

– Nie wiem. Ja mam za zadanie odprowadzać was do bramy, której nie przekraczam. Nie wiem, co was za nią czeka. Nie wiem, czy wracacie tu ponownie i na jakich warunkach. Nie wiem zatem, czy będę miała szansę sprawdzić, na ile prawdziwe jest to zdanie, że aby się odrodzić, trzeba najpierw umrzeć. Nie wiem zatem czy dane mi jest wielokrotnie towarzyszyć człowiekowi w jego ostatniej podróży. Może to jest nasza pierwsza i jedyna wspólna podróż, a może znów tu kiedyś, w innej postaci, powrócisz wolny od bagażu wspomnień z minionych egzystencji. Może już tu razem byliśmy? Przecież to możliwe, że robimy to nie

pierwszy raz. Energia jest przecież wieczna. Ona nie ginie, nie rozpada się, a jedynie przekształca. Widziałeś to przecież na tym jesiennym polu.

– Stoimy tu przed jakąś bramą, drzwiami, granicą, a ty mi mówisz, że nie wiesz, co jest po drugiej stronie? Przecież kończysz się, sama mówiłaś, setkę razy w każdej minucie. Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz czy Bóg istnieje?

– Nie wiem. To jakbyś usiłował pytać robotnika wynajętego do zbioru winogron, czy wino z nich zrobione będzie dobre, czym jedna winnica różni się od drugiej. On tego nie wie i wiedzieć nie musi, a pewnie też i nie chce. Wynajęto go, by zrywał owoce.

Nie wiem, Piotrze, czy istnieje ktoś, kto nas oboje i was wszystkich powołał do istnienia, czy też pojawiliśmy się na tej planecie za inną przyczyną. Nie jestem pewna nawet tego, czy nie jestem tylko wytworem waszych umysłów, choć zastanawiającym jest, że wszyscy wówczas byście roili to samo, co raczej jest mało prawdopodobne. Nie wiem, czy macie dusze. Ja nią, czy też nimi, nie jestem. To wiem. Może nie ma duszy, Boga, demiurga i kiedy już ostatni błysk światła, jaki dotrze do waszych oczu zgaśnie, zakończy się wszystko, bo po drugiej stronie niczego nie ma, a owe wrota, świetliste tunele, o których tyle słyszałaś, to tylko ostatnie, niekontrolowane do końca reakcje fizyczne czy biochemiczne zachodzące w obumierającym mózgu. Energia, jak ci już mówiłam, z jednej postaci przekształca się w inną i tyle. Nie wiem.

– Powiedziałaś przed chwilą: jeszcze nie teraz, jeszcze nie tu. To ty decydujesz, kiedy moje „jestem” zmieni się w „byłem”? Masz tu jakiś wybór? Możesz zmienić decyzję?